

Czerwiec 2006

numer 7 (32)

cena: 0zł:) :-)

XXVII L.O. im. Tadeusza Czackiego w Warszawie



WAKACJE!

## NA DOBRY POCZĄTEK

Przyszedł czerwiec, wyszedł kolejny w tym roku numer Czadka i... ponownie coś uległo zmianie. Tym razem, z mojego punktu widzenia, bardzo osobistego. Zmieniłem się ja, a raczej moje miejsce w redakcji. Już nie będę Was witał co miesiąc (no, założmy, że co dwa) w tradycyjnym wstępniaku – od teraz ta przyjemność należeć będzie do Magdy Pawłowskiej i Rafała Lorenta (obydwoje z klasy 1b). Niemniej jednak postaram się regularnie zamieszczać jeszcze rozmaite artykuły na łamach Czadka.

No, dość pisania tego, czego i tak nie chce się nikomu czytać! Przejdźmy do spraw istotniejszych, czyli do... czerwca. Tak, to już tylko trochę i wakacje! Przynajmniej dla pierwszo- i drugoklasistów – nasi abiturienti w chwili, gdy czytacie te słowa, pewnie opalają się już na Majorce. I bardzo dobrze, zasłużyli sobie na to!

Pozostaje jeszcze jedno pytanie: co znajdziecie w tym numerze Czadka? O tym niech może już napiszą moi następcy. Od teraz to przecież ich rola...

**Koza**

No więc... Jestem redaktorką naczelną. I to pierwszy wstępniak w mojej karierze. Mogłabym zacząć od pompatycznego "TERAZ MY!", ale nie zacznę. Mogłabym napisać olbrzymi, przepelniony obietnicami odnośnie nowego wizerunku Czadka tekst, ale nie napiszę. Napiszę tylko: witajcie. Mam nadzieję sprostać Waszym oczekiwaniom.

**Mała**

Dzień dobry, cześć i czołem! Zapytacie, skąd się tu wzięłam? Z dobrych chęci. „Czadek” jest dla Was i razem z Małą postaramy się, by był jeszcze ciekawszy, bardziej atrakcyjny i wartościowy. Nie będę się rozpisywał, bo i nie ma o czym – dobrymi chęciami wybrukowana sala od PO (choć strzelać każdy może), dlatego postąpię wg zasady „nie mów hop” i ograniczę się do jednego zdania: Czadek się zmieni. Tylko tyle i aż tyle mogę napisać odnośnie przyszłego roku szkolnego. A co do tego numeru: bierzcie i jedźcie! I cieszcie się latem! Po prostu! ☺

**Rafał**

## MIĘDZY LEKCJAMI

Nadeszły dni cieplejsze. Nadeszły dni słoneczne. Nadfrunęły ptaki, a ptaków śpiew doleciał do uszu naszych. A wraz z tym wszystkim nadszedł dla naszej Szkoły czas, kiedy wszyscy uczniowie wylegają ze szkolnego budynku (mam na myśli- w trakcie przerw) i cieszą się wszelakimi przejawami wiosenności na dworze. Tak, zaiste wiosna piękną porą jest roku...

Dla mnie, od kiedy pamiętam, możliwość wyjścia na dwór między lekcjami była perspektywą bardzo kuszącą, bowiem, mimo najszczerzych chęci, trudno jest pozostać skupionym na lekcji, kiedy dokoła tak pięknie, ciepło, a myśli krążą wokół tematów zdecydowanie pozalekcyjnych... Czas spędzony na boisku nigdy nie jest stracony, ponieważ każda minuta na świeżym powietrzu wpływa pozytywnie na nasze procesy myślowe (nie gwarantuję, że dotyczą one bieżącego materiału np. z fizyki) i wspomaga koncentrację (na tyle, żeby trafić do sali...). Ponadto spędzanie czasu na boisku sprzyja integracji międzyklasowej, co potwierdzić mogę osobiście, gdyż tak właśnie stało się w moim prywatnym przypadku.

Nawet kanapka z szynką lepiej smakuje na dworze...

Co robić na boisku? Istnieje wiele opcji. Jedną z nich jest *pospolite nieruszanie się* z miejsca w trakcie siedzenia na ławce (mam na myśli deski przykręcone do murka) lub na skrawku sztucznej trawy, występującym obok ogrodzenia boiska do siatkówki tudzież koszykówki, bądź też leżenia na trawniku.

Inną możliwością jest oddawanie się rozrywkom sportowym, jak np. gra w piłkę nożną, koszykówkę lub siatkówkę. Szczególnie ta ostatnia dyscyplina wydaje się ostatnio bardzo modna, zrzeszając wielu Czackiewiczów we wspólnej radosnej rozrywce. Mają oni wówczas okazję wykazania się swoimi nieprzeciętnymi umiejętnościami... ☺

Niekiedy, przy sprzyjających warunkach, na trawniku pojawia się bardzo intrygujące urządzenie, tzw. *zraszacz*, który potrafi sprawić wiele radości znajdującym się w pobliżu (z własnej woli bądź z przymusu) ludziom.

Wybywanie na dwór ma także, niestety, skutek negatywny. Jest nim notoryczne spóźnianie się na lekcje, spowodowane (ostatnio, w trakcie matur) brakiem dzwonek oraz niedostateczną szerokością drzwi wejściowych. Proceder ów doprowadza do białej gorączki wielu Profesorów, którzy nie są w stanie prowadzić lekcji w normalny sposób. Efektem są liczne spóźnienia,

pojawiające się w dziennikach niczym grzyby po deszczu. Nie jest to korzystne ani dla nas, bowiem wpływa to negatywnie na nasze oceny z zachowania, ani dla nas, bo spóźniwszy się na lekcje, tracimy wiele z tego, co już zostało powiedziane, ani tym bardziej dla nas, bo Profesorowie patrzą na nas okiem mniej życzliwym... A nawet parą oczu...

Tak więc wielkimi krokami zbliża się konkluzja, pointa i podsumowanie (w jednym). Wiosna, owszem, piękną porą jest roku i wskazane jest czerpanie z niej pełnymi garściami, co tam tylko jest do czerpania, jednak trzeba robić to z umiarem, rozsądkiem, odpowiedzialnością i świadomością, że lekcje jeszcze trwają, a do 23 czerwca tylko troszkę, ale jednak...

~krzywho

## PELIETON MAJÓWKOWY O TEORII ODPOCZYNKU

Nareszcie. Po jakimś surrealistycznie długim czasie oczekiwania mamy wolne. Majówka, najdłuższy weekend nowożytnej Europy, co najmniej od dwóch tygodni była celem, światłem w tunelu w trakcie oczekiwania na spóźniające się autobusy oraz podczas przerażającej kartkówki z matmy. Teraz ten gorąco wyczekiwany czas nastał i jak to zazwyczaj jest z dłuższymi pasmami wolnego – kłopoty dopiero się zaczęły.

Bo co tu ze sobą zrobić? W tym momencie zewsząd rozlegają się krzyki – „Spać!”. No, dobrze, ale ile można? Kiedy się o tym myśli, na przykład myjąc zęby o godzinie szóstej albo też na ósmej godzinie lekcyjnej - sen wydaje się celem ostatecznym, najwyższym szczęściem, którego po prostu nie może być za dużo. Jednak, kiedy już przyjdzie co do czego, okazuje się, że nawet najbardziej spragnione odpoczynku jednostki nie przekraczają granicy dwunastu czy trzynastu godzin (i to tylko przy optymistycznym założeniu, że nie obudziecie się „z przyzwyczajenia” na przykład o wpół do siódmej). Tak czy inaczej, w końcu trzeba wstać i stawić czoła wolnemu dniu.

Odpowiedzialność jest ogromna – majówka jest raz do roku, trzeba z niej korzystać, ile się da, nie uronić ani minuty i zmagazynować energię potrzebną, żeby dotrzeć do wakacji. Całodzienne gapienie się w telewizor czy komputer absolutnie nie wchodzi w grę, zwłaszcza jeśli za oknem świeci

słońce i można by nareszcie wyjść bez kurtki. Należałoby więc zorganizować coś bardziej aktywnego. To może jakiś krótki wypad w góry lub nad morze?

Problem w tym, że większość znajomych jak na złość już gdzieś wyjechała albo nie odbiera telefonu. Grupa, którą udaje się zebrać, kompletnie nie może się zdecydować na wspólny front działania. W końcu wszelkie dylematy zostają rozwiązane przez miłą panią z recepcji schroniska, która informuje, że wolnych miejsc nie ma do połowy sierpnia. Pozostają jednak rozrywki stacjonarne.

Komuś z grupy udaje się wyekspediować rodziców z domu, można by się spotkać. Dwa dni przed terminem imprezy wszystko wydaje się zapięte na ostatni guzik. Jednak kolejnego dnia okazuje się, że ktoś się przeziębił. Po dwóch czy trzech godzinach nerwowego przekładania wszystkiego okazuje się, że doszło do cudownego uzdrowienia, jednak rodzina kogoś innego w ostatniej chwili



zdecydowała się na wyjazd na działkę. Po dłuższych mediacjach jednak i te trudności zostają pokonane. Oczywiście, natychmiast pojawiają się następne. Ktoś zapomina biletu, autobus nie przyjeżdża. Potem jeszcze połowa gości gubi się w dojazdach i trzeba ich pilotować przez telefon. Do ostatniej chwili wydaje się, że nic się nie uda, po czym zupełnie niespodziewanie udaje się wszystko.

Impreza zapewne uda się popisowo, choć być może niekoniecznie w takiej formie i w takim składzie, jak była zaplanowana. Nie zmienia to faktu, iż po wyjściu wszystkich gości, nieprzespanej nocy, odkurzając naszpikowany okruskami chipsów, dywan człowiek zaczyna tęsknić za zwykłym, uporządkowanym rytmem.

Tsuli

PS. Piszę to trzydziestego kwietnia, a Wy będziecie czytać zapewne w czerwcu, po końcu długiego weekendu i być może mój punkt widzenia jako osoby wyspanej, mającej przed sobą niezwykle kuszącą perspektywę jeszcze tygodnia wolnego, wyda Wam się nieco surrealistyczny...

WSZYSCY MAJĄ ALERGIĘ...  
KAM I JA?

Moja koleżanka kicha po truskawkach, a kolega dusi się od marca do września. Mama kaszle z powodu kota, a mnie robią się blizny na skórze od niektórych metali i kosmetyków. Rzadko zdarza się, aby na pytanie „czy masz uczulenie?” ktoś odpowiedział przecząco. Modna choroba? Powiedziałabym raczej, że choroba naszych czasów.

Alergia to nadmierna reakcja naszego układu odpornościowego na konkretne substancje, mająca na celu zwalczanie ich, aby nie mogły zaszkodzić organizmowi. Cały problem w tym, że reakcja ta jest zupełnie niepotrzebna, jej istotą jest bowiem atakowanie czegoś, co jeszcze niedawno ludzkości w ogóle nie przeszkadzało. Bywa ona na tyle gwałtowna i silna, że szkodzi naszemu zdrowiu, a może zaszkodzić i życiu. Czemu tak się dzieje? Badania wykazały, że alergie atakują częściej mieszkańców wysoko rozwiniętych miast czy regionów. Żyjemy w świecie wysokiej higieny, leków profilaktycznych, silnych środków czyszczących- to wszystko pozbawia organizm naturalnych wrogów w postaci brudu, bakterii. Układ odpornościowy się nudzi i zaczyna wymyślać sobie wrogów. Z fatalnym skutkiem dla nas. Alergie mają wiele postaci- od

astmy i innych uczuleń „wdechowych” , poprzez alergie kontaktowe, do uczuleń na pokarmy. Istnieją też pewne ekstremalne i rzadkie schorzenia- takie jak alergia na światło słoneczne. Mają też one różne natężenia- od lekkiego kataru



do „ataku samobójczego” organizmu. Czytałam kiedyś o kobiecie, która miała tak silne uczulenie na kosmetyki, że jej mąż, chcąc ją zamordować, posmarował klamkę drzwi łazienkowych szamponem do włosów...

Wszelkiego rodzaju uczulenia to paranoja dzisiejszego świata. Co robić? Niektórzy wybierają długotrwałe i nie zawsze dające efekty odczulanie, drudzy faszeringują się lekami lub nie wychodzą z domu, jeszcze inni traktują swoją alergię jako część osobowości. Podobno można zmniejszyć ryzyko zostania alergikiem u dziecka, wypuszczając je spod

klosza, kontaktując ze zwierzętami i zakatarzonymi rówieśnikami- i w ten sposób wytrenować jego układ odpornościowy. Sposobów walki jest wiele, chociaż wciąż za mało. A może nie jesteśmy w stanie nic zrobić? A może alergia jest to po prostu mała zemsta natury na człowieku, który postanowił przyrodę zdezynfekować?

tuś

O PIELGRZYHCIE SŁÓW  
KILKA

Bardzo się cieszę, że naszą Ojcowiznę odwiedził papież Benedykt XVI. Naprawdę, uważam, że jest to wydarzenie wiekopomne, symboliczne, ważne i niezwykle. Jednakowoż pozwolę sobie, swoim zwyczajem, wypowiedzieć kilka słów elokwentnej krytyki. A ma ona związek z zakłóceniem działania środków komunikacji miejskiej...

Droga do szkoły była spokojna. Jak co dzień: trochę spacerkiem, trochę sprintem, trochę tramwajem, trochę truchcikiem, trochę metrem, trochę spacerkiem i jestem w szkole. Spox. Droga ze szkoły była jednak troszkę inna... Najpierw udałem się metrem na przystanek tramwajowy, co by sobie normalnie powrócić do domu. Ale, z powodu przejazdu Papieża, ruch był ograniczony, tramwaje nie jeździły. Czekałem więc chwilę. Spotkałem kolegę. Razem postanowiliśmy udać się piechotą na przystanek autobusowy. Tam wsiedliśmy w jakiś autobus, który jechał w stronę mojego domostwa. Kolega odbił po drodze, ja zaś pojechałem dalej. Gdy wydawało się, że wszystko (oprócz lekkiego tłoku) jest w porządku, autobus nagle skręcił nie wiadomo gdzie. Wysiadłem więc czym prędzej na najbliższym przystanku. Ruszyłem w stronę tramwaju, lecz ten wciąż nie nadjeżdżał. Przedsięwziąłem więc pieszą ekspedycję do domu. Przeszedłem jakiś kilometr lub dwa, gdy wreszcie ujrzałem ów środek komunikacji, zmierzający powoli w kierunku mojego domu. Okazało się, że oczywiście wypchany był po brzegi. Zastosowałem więc typowe wejście z bara, co zaowocowało większym skompresowaniem się pasażerów i wyodrębnieniem się pewnej ilości wolnego miejsca, nadającego się w sam raz na postawienie buta. Takim sposobem przebyłem 3 przystanki i dotarłem do domu.

Po południu, jak w każdy czwartek, mam tańce. Zajęcia zaczynają się o 17:45 i odbywają w Pałacu Młodzieży. Z domu wyszedłem o 17:10, denerwując się lekko, że mogę się spóźnić. Postanowiłem zawczasu zaoszczędzić trochę tajemnicy przyspieszonym krokiem dotarłem na przystanek

tramwajowy. Po chwili nadjechał tramwaj. Miejsca było sporo, dość wygodnie stanąłem sobie, oparłem o poręcz i jechałem... Jechałem, jechałem, jechałem i nagle - **megazaskoczka!** Tramwaj zbacza z trasy jak rodowity zboczeniec! Wsiadam więc co prędzej, lekko się zestresowałem, zmierzam do pobliskiego kawałka stupa, pozorującego przystanek autobusowy. Autobus nadjeżdża. Nie wiem, gdzie jedzie, chcę tylko dostać się trochę bliżej Pałacu, z myślą, żeby potem przesiąść się w coś innego. Miejsca dużo wolnego, siadam. Jadę, jadę, jadę, a właściwie posuwam się z prędkością dość ślimaczą, z powodu korka na moście Poniatowskiego. Aż tu nagle, jakże by inaczej, autobus robi szybki manewr i już go tu nie ma, a jest gdzie indziej! Jedzie w bok, coraz szybciej i szybciej, zjeżdża ze ślimaka, trzęsie się potwornie, warczy, dyszy i dmucha, kierowca zmienia biegi, co sygnalizowane jest przez konwulsyjne szarpnięcia, bardzo niezdrowe dla kręgosłupa szyjnego. I nagle - cóż to?! Blokada policyjna! Kierowca zbacza więc - ziiiiium! Skręca, jedzie dalej, rozpędza się, nagle staje. Za cholere nie mam pojęcia, gdzie jestem, ale wiem jedno - z tańców nici. Ujrzawszy na przystanku napis "PKP Powiśle" i skojarzywszy go z dworcem pociągowym pod mostem, po którym codziennie przejeżdżam do szkoły, wsiadam. Dzwoni telefon - moja partnerka pyta mnie, czy będę. Mówię, że się staram, ale że raczej nie da rady, bo się zgubiłem. Rychły koniec rozmowy. Idę za tłumem, wylewającym się z autobusu i kierującym się gdzieś tam. Widzę drzewa, widzę garaże, widzę napis "LEGIA WITA!". Myślę "ssssspoko...". Dzielnie idę dalej. Widzę schody, a na ich końcu takie fajne coś, co stoi przy moście Poniatowskiego, co nigdy nie wiedziałem, do czego służy. Już teraz wiem. Wchodzę na górę. A tam tłumy ludzi migrują tam i z powrotem. Migrują z nimi. W końcu docieram do przystanku, gdzie ludziuf jak mrufkuf. Przepuszczam cztery lub pięć tramwajów wypchanych ludzkimi kończynami, a następnie, po przerwaniu się hołoty, wsiadam do jednego z nich. Drzwi jednoskrzydłowe radośnie przycinają mi nogę. Wyciągam ją z kleszczy nie bez wysiłku i opieram się o skrzydło drzwi, z drugiej strony czując napór jakiejś kobiety. Myślę "ssssspoko...". Na następnym przystanku tłumy co niemiara. Usiłuję udawać, że zajmuję więcej miejsca, niż zajmuję w istocie, w celu odstraszenia potencjalnych sado-masochistów. Bezskutecznie. Jakaś pani w średnim wieku rozpędza się i wbija w tramwaj, wyczyniając rozmaite ekwilibrystyczno-akrobatyczne sztuczki. Po chwili sama męczy się z bezlitosnymi odrzwiami, a po drugiej chwili niemalże wisi w powietrzu między poziomem podłogi - schodami - i skrawkiem podłogi obok schodów. Jestem pełen podziwu. Ludzie miażdżą mnie niemilosiernie. Następny przystanek. Zbliża



się Pan typu Twardy Bysior. Przemawia do mnie tymi słowami "Słuchaj, czy mógłbyś stanąć na wyższym stopniu." To nie błąd, na końcu tej wypowiedzi nie było znaku zapytania. Staram się być usłużny. Próbuję się wspiąć. Na wyższym stopniu wystarcza miejsca na prawą połowę mojej prawej stopy i czubek lewej, w celu utrzymania równowagi jakiej-takiej, wspomaganiej, oczywiście, przez trzymanie się poręczy. Pan Bysior wydaje się być usatysfakcjonowany (mam na myśli - nie zgłaszał żadnych kolejnych żądań). Na następnym zaś przystanku do tramwaju wtargnęła młodzieżowa drużyna piłkarska + trener bardzo niemłodzieżowy. Było bardzo sympatycznie. Ktoś wysiadł, więc przemieściłem się w stronę okna, z którego wiał orzeźwiający powiew, niosąc ze sobą wodę. Ach, tak. Zapomniałem wspomnieć, że od czasu zboczenia z mostu padał deszcz. Trochę mnie ochlapało, ale pocieszałem się myślą, że to już prawie koniec. Na końcu wysiadłem. Z wielką ulgą. Na deszcz. Naciągnąłem sobie ok. 14 mięśni, odgniotłem sobie piętę, skrzywiłem kręgosłup, objętość płuc zmniejszyła mi się o połowę, ale poza tym żadnych poważniejszych urazów nie doznałem. Wsiadłszy z tramwaju, spotkałem koleżankę Kasię, która podobne miała wrażenia: „Z Centrum jechałam około 50 minut - ty jesteś jeszcze w miarę wysoki, ale spójrz na mnie - całe 154cm do zmiążdżenia... Ciesz się, że przeżyliśmy!”

Ile można pisać o podróżowaniu tramwajem czy autobusem? Jak widać, sporo... Życie w Warszawie, za czasu pielgrzymki Papieża zwłaszcza, jest obfite w atrakcje. A teraz przepraszam, idę po jakąś maść...

~krzywho

RZECZ O TYM, JAK TO  
CZACKINA  
DEMONSTRACJĘ SIĘ  
WYBIERAŁ ALBO ZAMIESZKI  
WARSZAWSKIE

Na początku, jak powszechnie wiadomo, było słowo. Kilka krótkich rozmów, parę telefonów, smsów, e-maili, garść niesprecyzowanych zdań-haseł. „Będziemy protestować!”- ale jak, gdzie, kiedy? Potem pojawiła się perspektywa czegoś większego niż tylko spotkania na mieście z plakatami i gromkimi hasłami na ustach- okazało się, że w całą sprawę zamieszana jest Poniatówka, która miała zająć się organizacją i zapleczem demonstracji. W miarę upływu czasu dołączały się kolejne szkoły, przybywało zaangażowanych osób. Od 8 maja do akcji włączyli się także uczniowie z naszej Szkoły, rozklejając tu i ówdzie plakaty oraz angażując swoich znajomych. 10 maja miała miejsce manifestacja zorganizowana przez Inicjatywę Uczniowską. W przeddzień akcji okazało się, że nie zważając na planowaną przez Poniatówkę demonstrację, która miała zacząć się o dwunastej pod kolumną Zygmunta, IU postanowiła urządzać swoją własną manifestację w tym samym miejscu o godzinie czternastej! Inicjatywa nie konsultowała się oczywiście (bo i po co?) z organizatorami z liceum im. księcia Poniatowskiego, co spowodowało sporo zbędnego zamieszania. Skutkiem tego IU wchłonęła manifestację Poniatówki. Moja koleżanka z tejże szkoły na początku piekliła się o to straszliwie, lecz w końcu postanowiła przybyć wraz ze swoimi ludźmi – nie chodzi w końcu o to, kto to robi, ale o to, żeby było zrobione.

Działo się w pewną słoneczną sobotę w maju, właściwie w połowie maja, konkretnie – trzynastego. Od południa dzielne szeregi nieustraszonych nonkonformistów, socjalistów, antygiertychowców pragnących odwołania Pana Ministra, anarchistów pragnących tego, co zwykle, oraz zwykłych uczniów i studentów z Warszawy i okolic, pragnących zmanifestować swoje „poparcie” dla Naszego Nowego Ministra, zbierały się gromadnie i gromadziły w zbieraninę wokół kolumny. Nie tylko zresztą uczniowie i insza młodzież uczestniczyła w tym wiekopomnym wydarzeniu: także szanowne grono pedagogiczne było reprezentowane na manifestacji lecz, niestety, dość mizernie, a nawet „przelotnie”. Może nasi profesorowie obawiają się restrykcji związanych z demonstrowaniem swego niezadowolenia wobec Pana Ministra? Jak powiedział mój znajomy nauczyciel, łapiąc się za bujną czuprynę, „To mój nowy szef! Szef szefów! Przecież...” – tu przerwał

(lecz włos trzymał) i spojrzał na mnie z rozpaczą. Około wpół do drugiej do sporej i wciąż rosnącej grupy, zebranej pod kolumną Zygmunta, dołączyła nasza „delegacja” w sile siedmiu osób. Czekać na rozpoczęcie marszu, spotkałem swoją znajomą z Poniatówki, o dziwo, z flagą anarchistyczną w ręku. Okazało się, że wcisnęła jej do ręki ową flagę jej przyjaciółka – punk. Lecz moja znajoma ani punkiem, ani anarchistką nie była i, korzystając z okazji oraz walorów płci pięknej, wepchnęła mi flagę do ręki, po czym, rzucając „ciao”, ulotniła się w tłumie. Nie wiedziałem za bardzo, co z tym fantem zrobić – duszą i ciałem jestem „kapitalistom” – ale po chwili udało mi się korzystnie pozbyć flagi drogą handlu wymiennego za arkusz z wdzięcznym napisem: „Lepper do więzienia, Giertych - do widzenia”.



Punktualnie o godzinie 14, na znak człowieka z megafonem i w berecie, prawdopodobnie głównego organizatora z IU, demonstracja ruszyła spod kolumny Zygmunta na Sejm. Wielobarwny tłum uzbrojony we flagi wszelakiej maści, transparenty, bębenki, gwizdki, hasła zarówno podniosłe, jak i mniej podniosłe oraz w ten szczególny zapał, któremu wystarczy on sam, by wierzyć, że może wszystko. Moje pierwsze odczucie było nie mniej entuzjastyczne: oto ja, młody i świadomy obywatel, korzystam z praw demokracji i pluralizmu wraz z innymi, nie mniej świadomymi obywatelami! Odczucie to zepsuła trochę obecność Polskiej Młodzieży Socjalistycznej – 1 maja w końcu już był. No ale może lubili sobie pokrzyczeć? W każdym razie czerwona flaga ze złotą gwiazdą nieco psuła ogólne wrażenie i odstraszała zapewne warszawiaków, których demonstranci zachęcali „Pójdźcie z nami!”. Poprzestali na obojętnym przyglądaniu się nam, tu i ówdzie urozmaiconym uśmiechkiem, najczęściej złośliwym. Zdarzali się, oczywiście, tacy ludzie, jak pewien starszy pan, który zaczął wiwatować i krzyczeć: „Macie rację! Precz z Giertychem!” ale na ogół reakcja była znikoma. Zresztą, większość ludzi starszych, których spotkaliśmy na trasie przemarszu, zgromadzona

była w jednym miejscu i – przygotowana. Gdy podchodziliśmy pod klasztor klarysek, zauważyłem na placu przed nim jakichś ludzi z transparentami „UE nie!” i tym podobne. Pomyślawszy, że to zapowiadana Młodzież Wszechpolska, zacząłem krzyczeć: „Patrzcie, MW!”. Ludzie wokół nas zaczęli wykrzykiwać różne ciekawe hasła pod adresem, ale gdy podeszliśmy bliżej, okazało się, że może i Wszechpolska, ale na pewno nie Młodzież. Do transparentów przytwierdzeni byli (dosłownie) sympatyczni staruszkowie, którzy mogliby być Twoją babcią albo i dziadkiem i gotować Ci co tydzień rosółek pod warunkiem, że jesteś Słusznym Polakiem, Patriotą i Katolikiem. Fotreporterzy, krążący wokół nas od samego początku i wyszukujący interesujących modeli, pognali porobić fotki kontestatorom-seniorom, którzy jęli gorączkowo przygotowywać się na spotkanie z mediami. My tymczasem szliśmy dalej.

Gdy z pewnym trudem udało nam się wreszcie znaleźć pod Pałacem Namiestnikowskim (trzeba bowiem wiedzieć, że tego dnia Warszawa pękała w szwach od przeróżnych atrakcji- parada Schumana, występy zespołów pieśni i tańca, zjazd delegatów czegoś tam, koncerty, kontrparady), demonstranci postanowili podzielić się z Panem Prezydentem jego najwznieściejszą myślą, którą wyskandowali mu paręnaście razy. Następnie, wielce zadowoleni z siebie, weszliśmy z bębнами i gwi(a)zdkami na rondo de Gaulle'a i, ochraniani przez policję, przedefidowaliśmy przed jedyną polską palmą. Ponieważ wywołaliśmy mały paraliż ruchu drogowego, maszerowaliśmy dość szybko i wkrótce osiągnęliśmy drugi brzeg. Idąc wciąż przed siebie, machaliśmy do mijających nas autobusów i krzyczeliśmy: „Chodźcie z nami!” (bez większych rezultatów) – aż tu nagle, w trzecim z rzędu autobusie, zobaczyliśmy promiennie uśmiechniętą panią profesor Luber! „Delegacja” z Czackiego zaczęła krzyczeć i machać, pani profesor odmachała i – ot, nie ma autobusu. To niespodziewane wydarzenie wlało radość w nasze serca, gromkim głosem zaczęliśmy skandować hasła antygiertychowe i już, już zaczęliśmy się prawie rozglądać w wyczekiwaniu na kolejne spotkanie z profesorem z naszej Szkoły. Może profesor Olech poprowadzi nas na barykady? Może profesor Żabińska spółem z profesorem Swobodą zacząć przemawiać na wiecu pod Sejmem, ze swadą Cyclerona wygłaszać mowę? A może profesor Braś przywoła ku przestrodze błędy i zaniedbania władz z przeszłości w dziedzinie edukacji? Kiedy tak moje myśli krążyły tam i ówdzie, przechodziliśmy pod jakimś masywnym budynkiem, na którego balkon wyległo kilku mężczyzn. Demonstranci zaczęli coś krzyczeć, „Zejdźcie na dół!” zdaje się, gdy nagle – huk! Coś wybuchło obok nas, petarda, kapiszon. Momentalnie cały rozochocony i zawadiacki tłum umilkł: ciekawa zagwozodka dla przyszłych

Nieco bardziej stonowany (i zachrypli) tłum dotarł wreszcie pod Sejm. Przez chwilę staliśmy, nie wiedząc za bardzo, co mamy zrobić ze sobą i transparentami, gdy po chwili przez megafon zaczął przemawiać człowiek w berecie. Mówił wiele: o tolerancji, o równości, o sprzeciwie wobec indoktrynizacji, o hipokryzji polityków. Oświadczył, że nie jesteśmy żadną socjalistyczną bojówką (przynajmniej – nie wszyscy) i że zebraliśmy się tu dziś jak uczniowie. Następnie zrobiono mały hyde park: wypowiadali się licealiści, studenci. Potem do głosu dorwał się jakiś człowiek z Racji<sup>1</sup> i usiłował zrobić ze swego przemówienia agitkę – na szczęście, został zakrzyczany. Beret odebrał mu megafon i oświadczył raz jeszcze, że nie jesteśmy zwolennikami żadnej partii i zgromadzili nas tu nie socjaliści, ale problemy polskiego systemu edukacji w osobie ministra Giertycha. Po parunastu minutach skończył się czas przeznaczony przez Radę Miasta na wiec i rozeszliśmy się.

Wracając, zastanawiałem się nad tym, czy ta demonstracja w ogóle miała jakiś sens. Żaden polityk nie wyszedł do nas z Sejmu, reakcja sprowadzała się do notatek i zdjęć w prasie – ot, przeszliśmy się ulicami Warszawy i pokrzyczeliśmy sobie trochę. Ale gdy w promieniach majowego słońca mijalem wszystkich ludzi, zgromadzonych na koncertach, występach, zjazdach i Bóg wie czym, odczułem wyraźnie, że Warszawa to miasto pełne życia. I że każda demonstracja<sup>1</sup>, w której demonstruje się nie „żeby”, tylko „ponieważ”, ma sens.

Rafael

## KOD MARKETINGU

„Kod Leonarda da Vinci” Dana Browna to książka wszechczasów w kategorii „materiał na film”. Powodów jest wiele. Po pierwsze, ekranizacja przyciągnie do kina zapewne wszystkie stronnictwa: od osób, uważających historyczną mistyfikację za bujdę na resorach, po ludzi, którzy, o dziwo, uwierzyli w bajania Browna (a ponoć tych też nie brakuje). Po drugie, producenci nie muszą się przejmować zbyt marketingiem – tym zajął się Kościół i wszelkie możliwe media, rozdmuchujące od dobrych kilkunastu miesięcy kontrowersyjny temat „heretyckiej twórczości pana Dana”. Nic więc dziwnego, że ekranizacja wielkiej przygody Roberta Langdona była tylko kwestią czasu.

Ów znawca symboli, w którego wcielił się Tom Hanks, wbrew swej woli znalazł się w centrum największego skandalu w historii ludzkości. Choć lepiej chyba użyć terminu „potencjalny skandal”, gdyż prawdziwa burza zacznie się dopiero wtedy, gdy ktoś nieopatrznie wyjawi światu rzekome machlojki Kościoła, mające na celu utrzymanie władzy nad ludzkością. Oczywiście, trzeba najpierw poznać prawdę

<sup>1</sup> Demonstracją jest spotkanie przynajmniej 20 osób

absolutną, a w tym pomaga Langdonowi piękna Sophie (Audrey Tautou) oraz znawca historycznych legend, pan Teabing (Ian McKellan). W ślad za nimi podąża jeszcze tabun antybohaterów, w których wcielił się między innymi Alfred Molina, Jean Reno oraz Paul Bettany. I pomyśleć, że wszystkiemu jest winny Leonardo da Vinci.

Jak widać, film ma potencjał – osoby, które nie czytały książki, mogłyby z powodzeniem uznać scenariusz za intrygujący, a na widok nazwisk z czołówki przyklasnąć radośnie. Niestety, rzeczywistość jest mniej łaskawa, niż byśmy tego chcieli. „Kod da Vinci” opływa w banały, od których widzowi robi się niedobrze, a drewniane aktorstwo przyprawia wręcz o torsje. Widać Hanks i Tautou również nie kupili historyjki Browna, przez co nie można powiedzieć o ich występie, że był w choćby najmniejszym stopniu przekonujący. Sytuację ratują jedynie Ian McKellan oraz Paul Bettany. W szczególności drugi z wymienionych panów zaskoczył mnie niezwykle pozytywnie, gdyż nie spodziewałem się po nim takiego opisu – zawsze kojarzył mi się ze średnio udanym filmem „Wimbledon”. Postać albinosa Sylasa, w którą się wcielił, jest jedynym szwarczakiem, w którego autentyczność jestem w stanie uwierzyć. Natomiast McKellan pokazał, że do każdej, nawet najmniej ciekawej roli potrafi podejść z rzemieślniczą dokładnością i ukuć z niej coś wartego uwagi. Gdzieś w ferworze pościgów nikną, niestety, panowie Molina i Reno, dla których najwyraźniej zabrakło miejsca w scenariuszu.

Kolejnym szwankiem w całej maszynerii jest śmieszność wygłaszanych lawinowo tez o historii świata. Jedyne, co można zrobić, to rozgrzeszyć wszystkich widzów, którzy nagle wybuchają histerycznym śmiechem. Niestety, jest to jedyna reakcja, jaka wchodzi w grę przy takiej „głębi” dialogów. Patetyczne kwestie przeplatają się przez cały czas z dowcipami bohaterów, na które... nikt nie reaguje. Może to taki slang kryptologów, którzy wyskoczyli w sobotę na piwo? Na to pytanie, będące zarazem największą zagadką „Kodu da Vinci”, może nam odpowiedzieć chyba tylko sam Dan Brown.

Powiesiłem na produkcji Rona Howarda już z tuzin kotów, więc wypadaloby chociaż dla osłody napisać coś pozytywnego. Cóż, muzyka autorstwa Hansa Zimmera jest całkiem dobra. Fakt, że delikatnie wtórna – nie raz było nam dane słuchać podobnych kompozycji – ale mimo wszystko przyjemna dla ucha. W gruncie rzeczy, mimo tych wszystkich katastrofalnych wad, film sam w sobie ogląda się przyjemnie – nie mogę powiedzieć, by seans był dla mnie torturą. Oczywiście, nie jest to rekomendacja dla „Kodu”. Przypuszczam jednak, że i tak nieważne, co bym napisał – tabuny widzów na pewno zawitają w kinach. W sumie, nic dziwnego.

KoZa

## TEXTY NAUCZYCIELI: P. PROF. OLECH

„Gdy alkohol w pracy szkodzi, rzuć pan pracę, o co chodzi?!”

„Jak tak dalej będziecie się zachowywać, to założę wam wędzidła i będę was ujeżdżać!”

„Ty to jakaś pomyłka jesteś”

„Co tak ryczy, jakby go kto doił?”

„Nie podskakuj, nie podskakuj, siedź na d... i przytakuj!”

„Rzeżączka to choroba weneryczna. Ale też można ją przenosić...”

„Jak się zawszysz, to już koniec!”

[przy kolejnej nieobecności ucznia na krzyżówce] „Ten Ż. to jest jakiś lawirant!”

## STOPKA REDAKCYJNA

### Red.Nacz.:

Mała 1b  
Rafał Lorent 1b

### Ex-Red.Nacz.:

Tomek „KoZa” Koziół 2b

### Red. Tech.:

Marta „tuś” Rachlewicz 1b

### Redaktorzy:

Kasia „Katia” Tropiło 3b  
Olga „Tsuli” Czeranowska 1b  
Marta „tuś” Rachlewicz 1b  
Krzysiek „krzywho” Muciak 1b  
Joasia Zabołotny 1a  
Rafał Lorent 1b  
Mała 1b

REDAKCJA ŻYCZY  
WSZYSTKIM CZACKIEWICZOM  
UDANYCH WAKACJI!